

**WOJCIECH  
CHMIELARZ  
OSIEDLE MARZEŃ**

MARGINESY

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Switłana lubiła jerzyki. To bardzo pożyteczne ptaki. Oglądała ich podniebne tańce jeszcze w domu, we Lwowie, na ponurym blokowisku przy dworcu autobusowym. Leżała w wysokiej trawie, żując zielone źdźbło. Z oddali dochodził ją głos zapowiadający kolejny kurs do Kijowa, Iwano-Frankiwska, Odessy, a może nawet dalszych miast potężnego Sojuza, który rozlał się na jedną szóstą powierzchni Ziemi i był – szczerze w to wierzyła jako dziecko – najpotężniejszym krajem na świecie. I nie kolidowała z tym przekonaniem nawet pasąca się pod samym blokiem łaciata krowa.

Jak oni to wszystko spieprzyli, uświadomiła sobie nagle Switłana. Pamiętała wciąż pierwszy wyjazd do Przemysła. Do Polaszczy. W 1991 lub 1992 roku. I myśl, która przyszła do niej po przekroczeniu granicy, po podróży z nosem przyklepionym do szyby, po przechadzce wśród odrapanych kamienic – że Polacy mieli wtedy jeszcze gorzej niż oni. Mogło być inaczej. To Ukraina mogła być bogata, a Polska biedna. I to Polki jeździłyby na wschód sprzątać domy, a piękne ukraińskie panie podkładałyby im psie kupy do torebek. Mogło tak być.

Ale wszystko spieprzyli. Nienawidziła ich za to.

Switłana знаła się na ptakach. Kiedyś lepiej, teraz gorzej. Skończyła biologię na lwowskim uniwersytecie. Specjalizowała się w gryzoniach, a konkretnie w szczurach. Było to w pewien sposób pójście na łatwiznę, bo podwórka na lwowskim starym

mieście dostarczały mnóstwo materiału badawczego. Nie musiała prowadzić badań terenowych w zapadłych wioskach ukraińskich Karpat czy na płaskim, monotonnym stepie niczego szukać. Wystarczyło zastawić tylko parę pułapek. Po studiach magisterskich chciała robić doktorat, ale oczywiście nie miała pieniędzy. I tak została z bezużytecznym dyplomem w ręce i brakiem perspektyw na jakąkolwiek godną pracę. Próbowwała, jednak nie miała rodziny tam, gdzie mieć powinna, żeby zrobić karierę w ratuszu czy w administracji państwowej. A na prywatnym dawali jej śmieszna pensję, argumentując, że przecież ona nic nie umie i na niczym się nie zna.

W sumie mieli rację.

Zaczęła jeździć do Polski. Jak wszyscy – z papierosami i wódką, które sprzedawała na bazarze zaraz po drugiej stronie granicznego płotu. Nie lubiła tego. Tępych osiłków, z którymi handlowała. Innych przemytników, z którymi konkurowała, a którzy byli gotowi ją wydać, jeśli tylko trafiłaby się okazja. Najbardziej jednak nie lubiła celników. Za to, że musiała się z nimi użerać. Za to, że dawała im łapówki. Za to, że była młodą dziewczyną, więc chętnie ją obłapiali podczas niby-rewizji. Wsadzali jej dłonie pod bluzę, w majtki i chociaż wyczuwali papierosy i butelki wódki, puszczali ją wolno. A pewnego dnia zaciągnęli ją w trójkę do jakiegoś budynku i zgwałcili. Nawet nie pamiętała już, czy to byli swoi czy Polacy. Skończyła z przemytem. Ale w domu wysiedzieć nie mogła. Pojechała sprzątać.

Na placu zabaw zaskrzeczała kawka. Siedziała na huśtawce. Przekrzywiła głowę i patrzyła w kierunku Switłany. Wyczuwała krew. Tych ptaków Switłana nie lubiła. Były brudne, srały, gdzie popadnie, i przenosiły choroby. Kampylobakteriozę, która objawia się biegunką, wymiotami i gorączką. Kryptokokozę atakującą płuca, układ nerwowy czy skórę. Nie, z kawek nie było żadnego pożytku. W przeciwieństwie do jerzyków potrafiących zjadać na-

wet dwadzieścia tysięcy komarów i meszek dziennie. Na starszych osiedlach, gdzie jerzyki zagnieżdżyły się w otworach wentylacyjnych, szparach między płytami, ubytkach elewacji, nie ma problemu z owadami. Ale tutaj stały nowe bloki. Wejścia do otworów wentylacyjnych zagrodzono plastikowymi kratkami. Jerzyki nie mają dość siły, żeby je wyrwać. Kawki to co innego. Świetnie dają sobie z nimi radę. I tak właśnie skończyli mieszkańcy osiedla Zielone Marzenie – z plagą komarów latem i blokami zanieczyszczonymi przez kawki przez cały rok.

Switłana zadrzała pod nagłym podmuchem wiatru. Dziedziniec był wprawdzie otoczony ze wszystkich stron wysokimi budynkami, ale wicher i tak się dostawał do środka. I hulał po placu, uwięziony wśród tych betonowych ścian, wyjąc jak pies zamknięty w ciemnej piwnicy.

Czy kawki jedzą padlinę? To pytanie samo pojawiło się w jej głowie. I zaraz za nim przyszły obrazy stada wygłodniałych ptaków, które rzucają się na leżące pod stopami Switłany ciało. Wbijają dzioby w jeszcze niedawno różowe policzki, w miękką szyję, wydłubują oczy, wrywają powieki, wyciągają z ust język przypominający wielką krwawiącą dżdżownicę. I piękna, delikatna dziewczęca twarz zmienia się w mięsną miazgę ze zwisającymi bezwładnie kawałkami skóry i przebijającymi gdzieniegdzie białymi kośćmi czaszki. Na czole siedzi dumnie jak królowa największa i najtłustsza z kawek. Skrzeczając, umila czas współbiesiadnikom. Korona stworzenia.

Inne krukowate nie miałyby nic przeciwko takiej uczcie. Ale czy kawki również? Switłana pomyślała, że chciałaby się teraz znaleźć we Lwowie, na uczelni. Odszukałaby profesora ornitologii, uroczego siwego staruszka całkowicie zakochanego w żurawiach, i zadałaby mu to pytanie. Na pewno znałby na nie odpowiedź.

Kolejny podmuch wiatru. Ukrainka otrząsnęła się ze swojej wizji. Przypomniała sobie, kim jest, gdzie jest, co jej grozi. Nawet

nie poczuła, kiedy rozluźniła mięśnie dłoni i upuściła trzymany w niej zakrwawiony nóż. Ostrze wbiło się w ziemię tuż obok czubka jej buta. Ruszyła mechanicznie w stronę wyjścia z osiedla.

Za sobą zostawiła zwłoki dwudziestoczteroletniej dziewczyny.

Kolejność mu się pomyliła. Najpierw wstał. Przeciągnął się i przetarł zaspane oczy. A dopiero potem dotarło do niego, że się obudził. I że przyczyną przebudzenia był dzwoniący przy łóżku telefon. Odebrał, nie patrząc na wyświetlony na ekranie numer. O tej porze i tak mogli do niego dzwonić tylko z jednego powodu.

– Mortka.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Mamy klientkę na Ursynowie. – Głos dyspozytora był suchy i rzeczowy. – Podaję adres.

– Chwila.

Nachylił się w stronę stolika. Otworzył leżący tam notatnik i sięgnął po długopis.

– Dyktuj.

Zapisał ulicę i numer.

– Coś powinienem wiedzieć? Wszyscy już tam są? – zapytał.

– Zgłoszenie wyszło z dwójki. – Dyspozytor miał na myśli drugą komendę rejonową policji obejmującą obszar Mokotowa, Ursynowa i Wilanowa. – Ściągnęli już, kogo należało.

– Jasne.

– Wysłać radiowóz?

– Nie trzeba.

Rozłączył się. Odłożył telefon na stolik. Kątem oka zauważył, że Olga już nie śpi. Siedziała na łóżku, cudownie rozczochrana. Ramiączko jej koszuli nocnej opadło, odsłaniając kawałek piersi.

– Obudziłem cię. Przepraszam.

– Wezwanie?

– Niestety.

– Zrobię ci kawy.

Poderwała się, zanim zdążył powiedzieć, że nie musi i że lepiej niech wraca spać. Chwilę później usłyszał krzątanie w kuchni, ciche buczenie ekspresu i stukot kładzionych na blacie stołu talerzy. Nie rozumiał, skąd ona ma tyle energii, podczas gdy on siedział w niezmienionej pozycji, dotykał dłońią wciąż ciepłego prześcieradła i dopiero docierało do niego, że właśnie zaczyna się nowy dzień.

Podniósł się z łóżka i zaczął ubierać we wczorajsze ciuchy. Poprzedniego wieczora założył, że zdąży pojechać do domu przed pracą.

– Powinieneś mieć tu jakieś swoje ubrania – rzuciła Olga, wychylając się z kuchni. – Właśnie na takie okazje.

– Może – odpowiedział wymijająco, bo nie chciał przyznać jej racji.

– Będziesz wyglądał nieświeżo.

– Nikt nie zwróci na to uwagi.

Pewnie niepotrzebnie się bronił. Tylko że znali się z Olgą tak krótko. Właściwie od początku zaczęli ze sobą sypiać. I teraz co? Po kilku tygodniach miałyby znosić do niej swoje rzeczy? Jasne, nie proponowała nic wielkiego. Tyle, żeby przyniósł na wszelki wypadek kilka par skarpet, majtek, spodni i może parę koszulek. Ale on czułby się wtedy tak, jakby się do niej wprowadził. Nie chciał teraz zajmować się takimi sprawami. Wystarczyło, że wymusiła na nim, by trzymał u niej w łazience swoją szczoteczkę do zębów i dezodorant. Co zresztą było dobrym pomysłem, pomyślał, szorując zęby. Potem jeszcze obmył dokładnie twarz, zmywając z niej resztki senności.

– Co to za sprawa? – zapytała, gdy wszedł do kuchni.



– Jeszcze nie wiem.

– Ale zabójstwo? – drążyła, wręczając mu filiżankę z kawą i talerz z tostami z szynką i serem.

– Do innych rzeczy mnie nie wzywają – odpowiedział, siadając przy kuchennym stole. – Przynajmniej nie tak wcześnie.

Olga wciąż przeżywała to, że była dziewczyną policjanta. Bywały dni, kiedy dosłownie zasypywała go pytaniami, chcąc się dowiedzieć, co robił, dlaczego, z kim, po co i jakich bandziorów wsadził właśnie za kratki. Z jednej strony mile łechtalo to jego męską i zawodową dumę. Z drugiej... no cóż, to było skomplikowane. Coś się zmieniło w jego życiu. Tego był pewien, chociaż nie do końca wiedział co, kiedy i dlaczego. Od dwóch miesięcy nie rozmyślał o rzuceniu tej pracy. A wcześniej miewał takie okresy, gdy fantazje na temat tego, kim będzie po odejściu z policji, nadawały jego życiu jedyny sens. Nie potrafił określić, jak się z tym czuje. Chyba dobrze. Co nie zmieniało faktu, że wciąż nie lubił tej roboty. I rozmowa o niej na randce albo tuż po seksie (nie wiadomo dlaczego, właśnie wtedy Olga próbowała wyciągać od niego najbardziej makabryczne szczegóły) była równie przyjemna jak wyjmowanie drzazgi spod paznokcia. Wreszcie – wiedział, że pewnego dnia ta ekscytacja minie. A wtedy jego późne powroty, niespodziewane wyjścia i nienormowane godziny pracy po raz kolejny staną się problemem.

– Wiesz coś więcej? – dopytywała się Olga.

– Ofiarą jest kobieta – odparł niechętnie.

– Ile miała lat? Są jacyś podejrzeni?

W kilku gryzach połknął tost i zaraz popił jeszcze gorącą kawą. Poparzył przy tym wewnątrz ust. Kawa oczywiście była zbyt gorzka jak dla niego. Nazywał to przekleństwem zepsutego automatu z komendy stołecznej. Maszyna zawsze wsypywała zbyt dużo cukru. Początkowo mu to przeszkadzało, ale przyzwyczyił się do tego przesłodzonego smaku i teraz żadna inna kawa mu nie pod-

chodziła. Ironia sytuacji polegała na tym, że automat w końcu naprawiono, a on pozostał ze swoim zepsutym przez bezduszne urządzenie gustem.

– Wszystkiego dowiem się na miejscu – odpowiedział, kiedy przełknął.

Podszedł do Olgi. Pocałował ją w policzek, a później w usta. Chwyliła go za włosy i wbiła się w niego namiętnie. Objął ją mocno, przymknął powieki i rozkoszował jej zapachem i ciepłem.

– Dzięki... – wyszeptał, gdy go puściła.

– To ja dziękuję. Będę o tym myślała cały dzień.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wracaj do łóżka.

Zegar wskazywał za dziesięć siódmą. Pokręciła głowę. Przeciągnęła się, stając na palcach. Z zadowoleniem patrzył na jej smukłą sylwetkę i wyraźnie odznaczające się piersi. Powinny jeszcze być na nich ślady jego ugryzień.

– Nie. Też już muszę się zbierać. Widzimy się wieczorem?

– Mam nadzieję – powiedział, idąc w stronę drzwi.

– Zadzwoń.

– Zadzwonię.

Kiedy znalazł się na klatce schodowej, usłyszał za sobą odgłos przekręcanego zamka. Podrapał się po tyle głowy. Nazywał się Jakub Mortka, był ponadtrzydziestoletnim rozwodnikiem, miał dwóch synów i najwyraźniej znalazł się w poważnym związku. Podobało mu się to.

Na Ursynów z Mokotowa dzięki wczesnej porze dotarł w niecałe piętnaście minut. Z Doliny Służewieckiej, szerokiej sześciopasmowej arterii, która przecinała południową Warszawę na pół, wjechał w aleję Jana Rodowicza „Anody”. Minał rozległy kampus SGGW (ciągle nie rozumiał, w jaki sposób szkoła rolnicza może mieć najnowocześnie wyglądające budynki spośród wszystkich

stołecznych uczelni), skrzyżowanie z ulicą Ciszewskiego i kierując się na południe, w końcu odnalazł poszukiwany adres.

„Osiedle Zielone Marzenie” – odczytał napis ułożony z metalowych, pomalowanych na turkusowo liter na okalającym bloki wysokim płocie. Dość pretensjonalna nazwa, ale nie aż tak jak „Sokrates Park”, „Płudy Village” czy „Berberysowe Ogrody”. Mortka mógł się tylko domyślać, co za błyskotliwe umysły wymyśliły te niezwykle określenia dla zbioru kilku najczęściej średniej urody bloków lub domów i na trwałe wpisały je na plan Warszawy. Tak. Na tym tle „Zielone Marzenie” prezentowało się w miarę przyzwyczajenie. Chociaż wciąż trochę wstyd.

Za płotem znajdował się wąski pas zieleni obsadzony gęstymi krzewami, które teraz, pozbawione liści, przypominały upiorne ogrodzenie z drutu kolczastego. Dopiero dalej wyrastały cztery budynki mieszkalne – pomalowane na piaskowy kolor i ze spadzistymi dachami z jasnoczerwonej blachy. Najdłuższy – od strony ulicy – tworzył pierzeję, która na równi z płotem odgradzała osiedle od reszty dzielnicy. Spośród trzech pozostałych dwa miały kształt litery L i wybudowano je po prawej i lewej stronie posesji. Ostatni, o zwykłym prostokątnym kształcie, znajdował się pomiędzy nimi. Osiedle było względnie nowe. Komisarz oceniał jego wiek na jakieś pięć, może siedem lat. Wystarczająco dużo, żeby elewacja pokryła się szarymi smugami ulicznego pyłu, i na tyle mało, by nie opłacało się jej jeszcze odmalowywać.

Mortka podjechał do wbudowanej w blok bramy i stanął przed szlabanem. W radiu leciała piosenka, którą słyszał pierwszy raz i której już nie lubił. To było coś o Warszawie i chińskim żarciu. Postanowił zatrąbić. Zaraz z budynku wyszedł przestraszony ochroniarz w towarzystwie umundurowanego policjanta. Ochroniarz nacisnął przycisk na pilocie i szlaban się uniósł. Komisarz podziękował ruchem dłoni i wjechał do środka.

Rozpoczął poszukiwania miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. Wszystkie, zresztą bardzo wąskie miejsca parkingowe były zajęte. Niektórzy zdesperowani kierowcy wjeżdżali nawet na trawniki, najwyraźniej nie przejmując się groźbą otrzymania mandatu od strażników miejskich. I słusznie, bo ci pewnie nie wchodzili na teren osiedla. Komisarzowi sytuacja wydała się dziwna, zwłaszcza że miał wjazd do podziemnego garażu. Widocznie mieszkańcy z niego nie korzystali.

Mortka uznał, że jest w pracy, a jeśli miała ona jakieś zalety, to jedną z nich na pewno było to, że mógł sobie czasem pozwolić na lekceważenie zasad kodeksu drogowego. Szczególnie w momencie wypełniania obowiązków zawodowych. Zatrzymał samochód tuż za stojącym radiowozem. I jego toyota, i policyjna kia zablokowały w ten sposób sześć innych pojazdów. Nie zamierzał się tym przejmować.

Wysiadł z auta. Przeciągnął się i rozejrzał po okolicy. Wewnętrzny dziedziniec był pusty, chociaż przy wejściach do poszczególnych klatek widział niewielkie grupki mieszkańców. Część z nich jeszcze w piżamach, na które zarzucili polarowe bluzy. Kolejni gapie zbierali się na balkonach. Palili papierosy, popijali kawę, a niektórzy robili zdjęcia komórkami. Komisarz pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie pracował przy takiej widowni.

Policyjną ekipę dostrzegł w okolicy placu zabaw. Idąc w tamtą stronę, wyławiał coraz więcej szczegółów. Dwóch techników w białych strojach, krążących wokół terenu z aparatami w dłoniach. Umundurowanych policjantów zabezpieczających ich pracę. I wreszcie jedną osobę po cywilnemu – młodą kobietę z popielatymi włosami związanymi w koński ogon, ubraną w brązową skórzaną kurtkę. Ruszyła w stronę Mortki, kiedy tylko go zauważyła.

– Panie komisarzu – przywitała się.

– Pani aspirantko – odpowiedział.

Wciąż dziwnie się czuł, dodając żeńską końcówkę do policyjnego stopnia. Dźwięk tego słowa jakby kłuł go w język. Ale wolał zmierzyć się z gramatyką, niż narażać na kolejne starcie z aspirant Anną Suchocką. Nie dlatego, że się bał. Wygrałby. Był wyższy stopniem, kierował śledztwami, miał większe doświadczenie zawodowe. Po prostu mu się nie chciało. Suchocka, Sucha, była dziko uparta. Dałby jej dzisiaj po łbie, a ona jutro i tak by mu przypomniwała, że „w języku polskim istnieją żeńskie końcówki”. Dobrze, że przynajmniej nie poprawiała go w kwestii swojego statusu cywilnego. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, zwróciła mu na to uwagę. Najwyraźniej po kilku miesiącach wspólnej pracy trochę mu odpuściła. „Panny aspirantki” już by nie zniósł.

– Co mamy?

– Zabójstwo – zaczęła, prowadząc go w stronę techników. – Ofiarą jest młoda kobieta. Na oko dwadzieścia lat. Brak śladów walki, gwałtu.

– Przyczyna śmierci?

– Sam zobaczysz.

– Tożsamość?

– Jeszcze nieznaną. Ze wszystkim czekaliśmy na ciebie.

Kiwnął głową.

– Można już?

Sucha zerknęła na jednego z techników. Szpakowaty mężczyzna, który non stop poprawiał okulary, zrobił ostatnie zdjęcie i przyzwalająco machnął dłonią. Sucha podała komisarzowi pudło z gumowymi rękawiczkami. Wyciągnął parę, włożył i dopiero wtedy podszedł do ciała.

Kobieta rzeczywiście była młoda. I ładna. Kasztanowe włosy sięgały do ramion. Otwarte szkliste oczy miały kolor brudnej trawy. Jej skóra była blada, co świadczyło o tym, że nie należała do miłośniczek licznych na Ursynowie solariów. W jednym nozdrzu lśnił niewielki srebrny ćwiek. Taki sam zauważył na

brwi dziewczyny. Oprócz tego nie dostrzegł żadnej innej biżuterii. Miała na sobie wełniany płaszcz, spodnie i skórzane buty. Niedaleko stała walizka na kółkach z wyciągniętą w górę rączką. Skórzana torebka, przerzucona ukosem przez ramię, spoczywała obok ciała.

Dziewczyna leżała na brzuchu z lewą ręką odrzuconą w bok, a drugą wsadzoną między zaciśnięte uda. Głowa była przekręcona. Ślad na ziemi – szerokie pasmo krwi – wskazywał, że próbowała się czołgać. Niedaleko. Ledwie metr, może półtora. Gdzie próbowała dotrzeć? Do walizki, wejścia do bloku? Uciec od zabójcy? A może, co Mortce nagle wydało się najbardziej prawdopodobne, po prostu chciała się ruszać w tych ostatnich chwilach? Jakby wiedziała, że w ten sposób zatrzyma w sobie życie.

Tuż obok zwłok leżało narzędzie zbrodni – wojskowy nóż o długim, z jednej strony ząbkowanym, ponaddwudziestocentymetrowym ostrzu, teraz całkowicie pokrytym krwią.

– Wygląda nieźle, ale to szajs – usłyszał nad sobą głos Suchej. Podniósł wzrok na policjantkę.

– To znaczy?

– Nóż dla dzieciaków. Zdziwiłabym się, gdyby kosztował więcej niż sześćdziesiąt złotych. Kiepska stal z tendencją do szybkiego tępienia się i łamania. Nie ma żadnej ochrony przed korozją. Rękojeść niby pokryta gumą, ale byle jaką. Zetrze się raz-dwa i wtedy nóż będzie się ślizgał, ilekroć dłoń się spoci. Z dobrych rzeczy, chyba ma fajną masę. Ale ja akurat wolę cięższe kosy. Podsumowując, tak jak mówiłam, nieźle wygląda, ale to szajs.

– Do zabicia człowieka wystarczy – zauważył.

– Wiesz przecież, że do zabicia człowieka wystarczy nóż do chleba – odbiła piłeczkę.

Miała rację.

Pochylił się nad ciałem dziewczyny. Szukał ran. Pierwszą znalazł bez trudu. Tuż pod przyciśniętą do uda dłonią. Palce dziew-

czyny były całe czerwone, a na nogawce aż pod kolano ciągnęła się szeroka plama. Ostrze noża trafiło w tętnicę udową. Wiedział, że krwawienie w takim miejscu jest właściwie nie do zatamowania. Śmierć następuje w kilka minut. Jeszcze szybciej traci się przytomność. Do tego dochodziła druga rana, po lewej stronie brzucha, trochę poniżej linii żeber.

Upewnił się, że ma włożone rękawiczki, i ostrożnie otworzył torebkę. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało. Komórka, portfel, paczka chusteczek, błyszczyc do ust i dwie podpaski. Wyjął portfel i zajrzał do środka. Znalazł tam banknot pięćdziesięciozłotowy i trochę bilonu. Czyli to nie był napad rabunkowy. Chyba że sprawca spanikował, co też wydawało się możliwe. Kiedy zobaczył, co zrobił, zrezygnował i uciekł. Mortka sięgnęła po dowód osobisty ofiary. Porównał twarz dziewczyny z fotografią.

– Przynajmniej nie będzie problemu z identyfikacją – rzucił na wpół do siebie, na wpół do Suchej.

Nazywała się Zuzanna Łatkowska. Rocznik 1986. Za kilka dni miała mieć dwudzieste czwarte urodziny. Zameldowana w Białej Podlaskiej. Mortka podniósł dokument tak, żeby Sucha mogła go zobaczyć.

– Trzeba ją sprawdzić w naszych bazach danych. Zawiadomić rodzinę. Zrobić wywiad. Ale pierwsze dwie czynności są najważniejsze.

Odłożył dowód do portfela, a portfel schował z powrotem do torebki. Wstał. Rozejrzał się dookoła. Na balkonach zbierało się coraz więcej osób.

– Rozłóżmy tu jakiś parawan, co? – zaproponował. – Rodzice zaraz będą odprowadzać dzieciaki do szkół i przedszkoli. Może oszczędzimy im tego widoku?

– Pogadam z technikami – powiedziała Suchocka.

Mortka został sam. Wsadził ręce do kieszeni i przyglądał się otaczającym go budynkom. Miały po cztery piętra plus parter. Na

każdym piętrze trzy mieszkania, okna dwóch z nich wychodziły na dziedziniec. Razem dziesięć mieszkań na klatkę. Klatek naliczył osiem. Przynajmniej tych, których mieszkańcy mogli widzieć miejsce zabójstwa. Czyli około osiemdziesięciu mieszkań. Każde zajmują średnio trzy osoby. Dawało to mniej więcej dwustu czterdziestu potencjalnych świadków. Na szczęście to było osiedle zamknięte. Nikt niepowołany nie powinien znaleźć się na jego terenie. Wreszcie – wjeżdżając, widział kamerę. Czyli mieli monitoring. Teoretycznie to była idealna sytuacja. Tak idealna, że nie potrafił w nią uwierzyć.

– Przyniosą parawan – odezwała się Sucha, kiedy wróciła.

– Świetnie. Kto ją znalazł?

– Ochroniarz podczas obchodu. Streścić ci to, co mi streścili chłopaki z Ursynowa?

Pokręcił przecząco głową.

– Pogadajmy z nim sami. Gdzie jest ten facet?

Poprowadziła go przez dziedziniec w stronę bramy. Minęli mężczyznę, który tłumaczył coś gorączkowo policjantowi, wskazując przy tym nerwowo na samochód Mortki.

– Panie komisarzu! – zaczepił Mortkę posterunkowy.

– Później.

Weszli do pomieszczenia znajdującego się przy bramie, typowej ochroniarskiej kanciapy z długim stołem, podglądem monitoringu na dwóch płaskich ekranach, kanapą pod ścianą, obowiązkowym kalendarzem z kobietą w skąpym kostiumie kąpielowym i kilkoma wlepkami Legii Warszawa. Ochroniarz okazał się ponurym dwudziestokilkulatkiem z fryzurą na lotniskowiec. Patrzył bykiem na wchodzących policjantów, a w dłoniach miętolił czarny tiszert. Przy kanapie stał młody posterunkowy. Dwa razy mniejszy od ochroniarza, którego miał pilnować. I wreszcie ostatnia osoba – trzydziestoletni facet w ciemnym garniturze, który poderwał się z miejsca na widok Mortki.



– Tomasz Lorenz – przedstawił się, a w jego ręce w jakiś magiczny sposób pojawiły się wizytówki.

– Kim pan jest? – zapytał komisarz.

Mężczyzna otworzył usta, ale jego słowa zagłuszył przeciągły dźwięk klaksonu. Poczekał, aż hałas minie, uśmiechając się przy tym przepraszająco.

– Tomasz Lorenz – powtórzył, wyciągając w kierunku Mortki wizytówkę. – Jestem administratorem osiedla.

Komisarz niechętnie wziął kartonik. Nawet go nie oglądając, wrzucił do kieszeni.

– To pan znalazł zwłoki?

– Nie, to ja – odezwał się ochroniarz. – Ja znalazłem.

– To co pan tutaj robi? – zwrócił się komisarz do Lorenza.

– Administruję osiedlem. Zajmuję się obsługą techniczną budynków, księgowością, rozliczeniami...

– Nie to miałem na myśli. – Mortka spojrzał znacząco na Suchą, która tylko wzruszyła ramionami. Komisarz zagadnął ochroniarza: – Jak się pan nazywa?

– Bartosz Hajduszkiewicz. Już mówiłem...

– Niech się pan przyzwyczajają – przerwał mu policjant. – Do końca dnia będzie pan wiele razy powtarzał różnym ludziom wiele rzeczy. Proszę opowiedzieć, co się stało.

Ochroniarz zacisnął palce na koszulce i zerknął szybko na Lorenza. Administrator ledwie dostrzegalnie skinął głową. Mortka wiedział, że powinien wyrzucić Lorenza z kanciapy. Ale pomiędzy administratorem a ochroniarzem coś się rozgrywało, a on bardzo chciał się dowiedzieć co i w jaką stronę się to rozwinie. Postanowił, że pozwoli uwierzyć im, że mają przewagę. Przynajmniej przez chwilę. Poza tym Lorenz miał w sobie coś, co budziło w komisarzu głęboką antypatię. Nie potrafił do końca określić co: bijące od administratora samozadowolenie, sztuczna opalenizna

czy wypastowane na glanc brązowe buty. To może nie było profesjonalne, ale nie mógł się doczekać, kiedy nadarzy się okazja, aby utrzeć mu nosa.

– Znalazłem tę dziewczynę – zaczął ochroniarz – tam, gdzie teraz leży. Chyba że już ją przenieśliście.

– Nikt jej nie ruszał – zapewnił Mortka. – Proszę powiedzieć, gdzie pan ją znalazł.

– Przecież mówiłem!

– Chciałbym poznać dokładną lokalizację.

– Niedaleko placu zabaw, przy budynku D.

– Co pan tam robił?

– Byłem na obchodzie. Musimy go robić co pół godziny. Kiedyś to było co godzinę, ale... – Ochroniarz nagle się speszył. Szarpnął koszulką, jakby chciał ją rozerwać na pół. – Nieważne zresztą. Szedłem podbić kartę.

– Nie rozumiem.

Z zewnątrz po raz kolejny doszedł ich dźwięk klaksonu. Ochroniarz sapnął i wyciągnął z kieszeni plastikową kartę wielkości karty kredytowej.

– Mamy punkty na osiedlu. Czytniki. Trzeba podejść, przyłożyć identyfikator i zameldować się.

– W ten sposób wiemy na pewno, że ochroniarze robią obchody, a nie siedzą w wartowni – skomentował Lorenz.

Mortka przymknął powieki, wyobrażając sobie plan osiedla.

– Czytnik jest na ścianie budynku?

– No tak.

– To jak pan dostrzegł ciało?

– Nie łapię.

– Budynek jest oddalony od miejsca znalezienia zwłok jakiegoś dziesięć metrów? Piętnaście?

– Raczej piętnaście – sprecyzowała Sucha.

– Niech będzie piętnaście – zgodził się Mortka. – Piętnaście metrów. Pomiędzy budynkiem a zwłokami stoją samochody. Stąd pytanie, jak pan dostrzegł ciało.

Ochroniarz otworzył niemo usta i zawinął koszulkę wokół pięści, jakby szykował się do walki bokserskiej.

– Walizka – powiedział nagle z niespodziewaną ulgą. – Zobaczyłem walizkę.

Mortka spróbował to sobie wyobrazić, w czym przeszkodził mu kolejny wybuch klaksonu, i uznał, że historia brzmi wiarygodnie. Faktycznie, bagaż w takim miejscu i o takiej porze mógł zwrócić uwagę ochroniarza.

– Panie posterunkowy...

– Tak jest! – Młody policjant oderwał się od ściany, o którą się opierał. Na jego plecach pozostały zielonkawe ślady od farby.

– Proszę sprawdzić, kto tam hałasuje, dobrze?

Policjant zrobił kwaśną minę, która miała prawdopodobnie wyrażać rozczarowanie tym, że każą mu robić za parkingowego. Cóż, pomyślał Mortka, jeśli chce pozostać w zawodzie, to powinien zacząć się przyzwyczajać do dziwnych poleceń wydawanych przez starszych stopniem. Czasami miał wrażenie, że właśnie na tym polega ich praca – nie na łapaniu przestępców, ale na zaspokajaniu biurokratycznych zachcianek zwierzchników.

– O której to było? – Komisarz zwrócił się do ochroniarza.

– Kartę podbiłem o piątej trzydzieści.

– A wcześniej o piątej?

– Tak.

Mortka podrapał się po brodzie. Z tego wynikało, że zabójstwa dokonano pomiędzy piątą a piątą trzydzieści. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Dwie i pół godziny po zdarzeniu. Stracili sporo czasu.

– Co pan potem zrobił?

– Zadzwoiłem po administratora, a potem do was.

– Dlaczego najpierw po administratora?

– W nagłych wypadkach mamy być powiadamiani jako pierwsi – włączył się Lorenz. – Wie pan, uważamy, że do rozstrzygnięcia sąsiedzkich sporów niekoniecznie potrzebna jest policja. Czasami problem można rozwiązać dzięki mediacji.

– Z kim pan zamierza teraz mediować? – prychnął Mortka.

– Z jednej strony stołu usadzi pan tę dziewczynę, wie pan, tę, co nie żyje, a z drugiej?

Lorenz wbił dłonie w kieszenie garnituru.

– Ta sytuacja jest oczywiście nietykowa. Ale do tej pory nasze procedury...

– Potem porozmawiamy o waszych procedurach – przerwał mu Mortka.

W tym momencie w drzwiach kanciapy pojawił się młody posterunkowy.

– Przepraszam, panie komisarzu, ale zastawił pan jakiegoś faceta, który musi wyjechać, bo ma spotkanie, i stąd to trąbienie.

Mortka westchnął.

– Niech poczeka. I tak już nie zdąży przed korkami.

Posterunkowy kiwnął głową i z powrotem ruszył w stronę parkingu. Komisarz tymczasem odwrócił się do ochroniarza.

– Macie monitoring?

– No.

– Skierowany na zewnątrz – odezwał się zza pleców komisarza Lorenz. – Dbamy o prywatność naszych mieszkańców.

– Nieważne. I tak chcę zobaczyć nagrania.

– To będzie niestety niemożliwe – stwierdził kategorycznie administrator.

Mortka poczuł, jak cały wewnątrz tężeje. Ochroniarz opuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę.

– Bo?

– Tak jak mówiłem: dbamy o prywatność naszych mieszkańców. Nie wiemy, co jest na tych nagraniach, dlatego nie możemy ich państwu udostępnić. Jako administracja zapewniliśmy mieszkańców podczas podpisywania umowy, że nagrania nie trafią do osób trzecich. I tego będziemy się trzymać. Przynajmniej do czasu, aż nie dostaniemy pisma z prokuratury. Ale wtedy również będę wolał najpierw skonsultować się z naszym prawnikiem. GIODO, sam pan rozumie.

Mortka podniósł wysoko brwi. W pierwszej chwili nie był pewien, czy naprawdę usłyszał to, co usłyszał. Lorenz tymczasem skończył swój wykład i uśmiechał się przepraszająco, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko nie jego wina.

– Sucha – odezwał się komisarz.

– Tak.

– Zatrzymaj pana Lorenza za utrudnianie śledztwa.

Lorenz zachichotał.

– Pan żartuje?

– Zrozumiałam – odpowiedziała Sucha i zwróciła się do administratora: – Proszę się odwrócić, ręce za plecy.

– Przecież nie możecie! – krzyknął ciągle rozbawiony, ale już lekko przestraszony Lorenz.

Machnął dłonią w kierunku Suchej, która stanęła przy nim. Nie chciał jej uderzyć. Raczej odgonić jak natrętną muchę. Ale to był błąd. Zanim się zorientował, Sucha chwyciła go za przegub, pociągnęła do przodu, równocześnie wskakując pod niego i uginając się na kolanach. Lorenz poszybował w górę, obrócił się w powietrzu i wylądował z hukiem na ziemi. Dopiero potem krzyknął z bólu. Mortka był pod wrażeniem. I sprawności Suchej, i tego, że zdołała wykonać prawidłowo rzut na tak małej przestrzeni. Zdawał sobie sprawę, że on sam byłby w stanie co najwyżej przyłożyć Lorenzowi w zęby.

Sucha odwróciła leżącego administratora na brzuch. Wbiła mu kolano w plecy i sięgnęła po kajdanki. Mortka podszedł do ochroniarza, który obserwował całe widowisko z szeroko otwartymi oczami. Komisarz wskazał na monitory.

– Na tym można odtwarzać nagrania?

– Aha – potwierdził ochroniarz.

– Pan pokaże. Pomiędzy piątą a piątą trzydzieści.

Ochroniarz skinął głową. Odwrócił się do komputera. Drżącymi palcami zaczął przebierać po klawiaturze i już chwilę później Mortka mógł oglądać na podzielonym ekranie czarno-białe nagranie z kamery przy wejściu na osiedle.

– Proszę przyspieszyć. Przecież nie będę tu stał pół godziny.

Ochroniarz posłusznie włączył podgląd. Mortka nachylił się nad ekranem. Nic. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził.

– To wszystko? – zapytał, kiedy nagranie się skończyło.

– No – potwierdził ochroniarz.

Mortka się wyprostował. Założył ręce za głowę. Nikt nie wchodził. Nikt nie wychodził. Czyli zabójstwo popełnił ktoś z mieszkańców. Albo ktoś, kto dostał się na osiedle niestrzeżonym wejściem. Trzeba się będzie dowiedzieć, czy takie istnieje.

– Co mam z nim zrobić? – zapytała Sucha, wciąż klęcząca na administratorze.

– Niech leży – mruknął Mortka.

Ciało znajdowało się z dala od trasy ochroniarza, pomyślał komisarz. Co jeśli na poprzednich obchodach nie dostrzegł on walizki?

– Pan pokaże wcześniejsze nagrania. Może być na podglądzie.

– Ale po co? – zapytał ochroniarz i komisarz już wiedział, że trafił w sedno. Cokolwiek było na tym nagraniu, to właśnie tego nie chciał mu pokazać Lorenz. To tego obawiał się ochroniarz.

– Pokazuj.

Ochroniarz pokręcił głową. Mortka odsunął go na bok, a sam chwycił za myszkę i włączył odtwarzanie wstecz z dziesięciokrotnym przyśpieszeniem. W końcu znalazł to, czego szukał. Czwar-ta czterdzieści siedem. Z osiedla wychodzi kobieta. Szybko, śpieszyła się.

– Kto to jest? – zapytał policjant.

Ochroniarz nie odpowiedział.

– Kto to jest?! – ryknął Mortka.

– To pani Switłana. Sprząta tutaj. Nie myśleliśmy, że to ważne, nie? – wymamrotał ochroniarz.

Komisarzowi opadły ręce. A potem usłyszał huk i dźwięk wy-jącego autoalarmu. Alarmu jego toyoty.

– Popilnuj ich obu – rzucił do Suchej i wybiegł na dwór.

Akurat żeby zobaczyć, jak wielki czarny volkswagen touareg taranuje jego samochód.

Podkomisarz Dariusz Kochan obudził się około ósmej. Za późno, bo o tej porze powinien być już w pracy, ale mu się nie śpieszyło. Zresztą na komendzie nie czekało go nic dobrego. Co najwyżej mętne spojrzenia rzucane przez skurwieli, którzy mieli więcej na sumieniu niż on, ale że to jemu powinęła się noga, to można mu obsmarowywać dupsko za plecami. Oczywiście na pewną dozę po-cieszających i wyrażających wsparcie poklepywań też mógł liczyć, ale ukradkiem i w tajemnicy.

Dość. Nie chciał się tym przejmować, nie chciał się dać zgnoić i zglanować. Wstał z łóżka. Spał sam. Zresztą od dłuższego cza-su tak było. Niby z Anią kładli się razem, ale zawsze znajdowała pretekst, żeby przenieść się do Janka. I leżeli we dwójkę, mały chłopiec i dorosła baba w dziecięcym łóżeczku. A że Janek często się budził z płaczem, to spędzali tak właściwie każdą noc. Pod-komisarz martwił się, że z chłopaka zrobiła się taka beksa. Ania wywierała na niego zły wpływ. Pomyślał, że powinien zrobić coś

wspólnie z synem. Wziąć go na ryby, do lasu budować szałas czy coś podobnego.

Wysikał się, a potem umył zęby i przepłukał twarz w zimnej wodzie. Wyciągnął czyste ciuchy z szafy, ubrał się szybko i zaczął zastanawiać, co powinien zjeść. W pracy pewnie nie będzie mieć czasu. Wracał po długim przymusowym urlopie, podczas którego miał przemyśleć swoje postępowanie. I trochę przemyślał. Pochodził do psychologa. Słuchał dyrdymałów, opowiadał równie nudne historie z własnego życia, ale głównie nie robił nic. Wpatrywał się w sufit i zapadał się w sobie. A teraz z powrotem do roboty. Pewnie dostanie milion zaległych papierów do wypełnienia, formularzy do podpisania, pism do zredagowania.

Chciało mu się rzygać.

Usłyszał, że Ania i Janek już wstali. Tarmosili się w łóżku, tulili. Janek coś szeptał, Ania go uspokajała. Czekali, aż sobie pójdzie. Aż zostaną sami.

– No to sobie poczekają – mruknął pod nosem.

Sięgnął do szafki, wyciągnął kubek. Przygotował sobie kawę i trzy kanapki z wędliną, serem i pomidorem. I jeszcze coś do pracy.

A potem bardzo powoli, nigdzie się nie śpiesząc, zjadł śniadanie.